

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

15

Józia zastanowiła się przez chwilę.

— Ej! nie... owszem... robiłabym sobie...

Łuniewski sam się zdumiał, że mu nagle serce zakolało, jak oszale.

— Chodziłoby pani o to? — rzucił prawie bez tchu, wściekły na siebie, że głos przybrał jakiegoś dźwięki nienaturalne.

— A tak... teraz musiałyby mi o to chodzić...

Zrozumiał, co miała na myśli; i hamowanym gniewem potrafił stopą jakiś kamyk.

— Pani myśli, że jabym poszedł do pani Żarnickiej na skargę?!

W głosie jego zadźwięczało takie rozdrażnienie i taka silna uraza, że Józia przestraszyła się i zawstydydziła własnego nietaktu.

Żywo odwróciła ku Łuniewskiemu głowę.

— Ależ ja to nie tak myślałam... Doprawdy, pan mnie źle zrozumiał... Niech się pan nie gniewa... Proszę...

Zrobiła śliczną, przymilną minę dziewczynki, która była niegrzeczna i przeprasza — i spojrzała mu tak słodko, tak prosząco w oczy, że odrazu stopniała w nim wszelka uraza.

— Ja się nie gniewam... Na panią nie można się gniewać... zresztą...

— Ach!... gdzież tam!... — westchnęła — można się gniewać i niejedną się gniewa... Ale między nami zgoda?

— Zgoda, pani Józiu...

— Gorąco!... — powiedziała Józia i podniosła rękę w białej, nicianej rękawiczce do czoła.

Łuniewski przy tej sposobności dojrzał, że rękawiczka ma pocerowane końce palców.

Uderzył go ten szczegół u synowej bogatej Żarnickiej, u bratowej ubranej z wykwinną elegancją panny Loli.

Dopiero teraz zwrócił na to uwagę, że całe ubranie Józii odznacza się jakąś pensyonarską skromnością i odcina jaskrawo od pięknych tualeł starszej pani Żarnickiej i jej córki.

— Jej i w tem ślicznie — myślał — ale to charakterystyczne, jak ją traktują... Cóż, ten gagatek Żarnicki sam jest jeszcze na utrzymaniu u matki... Ciekawym, czy ona się naprawdę w nim tak bardzo rozkochała, w tym łykowski donżuanie?...

Głośno myśl Łuniewskiego wyraziła się w zapytaniu:

— Czy pani męża swojego poznała w Krakowie?...

— Nie, w Pradze.

— Na uchodźstwie.

— Tak.

— Ileż pani wtedy miała lat?!

— Siedemnasty...

— I już się państwo wtedy zaręczyli?...

Józia spojrzała na niego trochę z boku i przez chwilę nie odpowiedziała.

— Proszę pana — wyrzekła wreszcie — niech się pan nie obraża, ale... co panu do tego — gdzie to było, jak... kiedy?... To są przecież bardzo osobiste sprawy, których się nikomu przy pierwszej, czy drugiej rozmowie nie opowiada...

Łuniewski poczuł, że czerwieni się, jak sztubak.

— Ma pani zupełną słuszość... Byłem nie-delikatny i przepraszam panią...

— Niema pan za co przepraszać, tylko, doprawdy, ja panu na takie pytanie ni stąd ni zowąd ogpowiedzieć nie mogłam, a wykręcać się — nie chciało mi się...

Umilkli znowu. Weszli teraz w ulicę, na której panował bardzo ożywiony ruch i Józia przypominała sobie o swoich kwiatach.

Właśnie wprost ku niej szedł jakiś robotnik w niebieskiej, zasmolonej bluzie, z workiem przetrzuconym przez ramię.

Józia podbiegła do niego ze słodkim uśmiechem...

— Proszę pana, jeden kwiatek... Na sieroty... Tylko dziesięć halerzy...

Robotnik w pierwszej chwili nachmurzył się i zachnął, ale, spojrzawszy w niebieskie oczy kwestarki, złagodniał i uśmiechnął się...

— O! nie... Ja panu sama przypnę. — Zaraz tu wyszukam ładny, najładniejszy...

Wzięła jedną gałązkę i przypięła ją szpilką do niebieskiej bluzy, chociaż robotnik bronił się.

— Niel... niel... panienka się pobrudzi... ja prosto od roboty... węgle nosilem...

— Nic nie szkodzi... O! Widzi pan, jak ładnie!

— Dziękuję pani. — Do widzenia.

— Do widzenia.

Pożegnali się przyjaznymi uśmiechami: Robotnik zdjął kapelusz i ukłonił się, a Józia wdzięcznie skłoniła główkę.

Łuniewski obserwował z zajęciem tę małą scenkę.

— Dostała pani komplement — powiedział.

— Takie najbardziej lubię, bo są przynajmniej szczerze...

— Ależ pani umie sobie radzić z ludźmi!...

— Nie ze wszystkimi...

Coś się jej nagle przypomniało, przyspieszyła kroku.

— Chodźmy prędzej — powiedziała tonem, w którym przebijał wyraźny niepokój.

— Spiesz się pani?...

— Tak... tak...

Zaczęła iść z nerwowym pospiechem. Wyrazista twarz zmieniła się znowu. Dolna warga drgała lekko, brwi to zbiegały się — to rozsuwały.

Łuniewski patrzył na nią zdziwiony. Co się jej stało?

Skręcili teraz w przecznice, wiodącą ku rynkowi i zobaczyli tuż przed sobą pannę Micę Kożuchowską z jej towarzyszem...

Łuniewski lekko uchylił kapelusza, pan Potyrowski ukłonił się bardzo nisko, ale zaraz, unikając spojrzenia Juliana, obrócił się w inną stronę i z wielkim zainteresowaniem wpatrzył się w szyld nad jakimś sklepikiem.

— Dzień dobry państwu — zadzwoniła swoim cienkim, nieco piskliwym głosem panna Micia —

— O! Ale pani się udało... koszyczek prawie próżny... Musieli państwo być gdzieś daleko... Pewnie aż za miastem... A tu na panią oczekuję z niecierpliwością!... Pani Żarnicka jest już niespokojna, a Lola mało oczu nie wypatrzy...

Zaśmiała się bez wyraźnej przyczyny i, uderzając swoimi nadmiernie wysokimi obcasami o bruk, poszła dalej.

— Panie Łuniewski, chodźmy, chodźmy prędzej — gorączkowała się Józia — Rzeczywiście zadługo byliśmy... Mój Boże...

Delikatna, różowa mgła, jaką Józia przyniosła z tej przechadzki, uciekła z jej twarzy. Młoda kobieta pobladała i zębami przycięła dolną wargę, która drżała nerwowo.

Oczy jej rozbiegały się, jak u przestraszonego dziecka.

Wyobrażała już sobie, co ją czeka w domu za powrotem...

Łuniewski zrozumiał teraz jej niepokój i zdenewrowanie.

Zatargało nim współczucie i wezbrał w nim gniew na Konrada Żarnickiego.

— A to ja zostawił!... a to ja urządził!... Osiotł!... Oni ją tutaj poprostu maltretują! Czy ona doprawdy nie ma nikogo, kłoby się za nią ujął?!

Józia szła tak szybko, że biegła prawie. Łuniewski delikatnie dotknął jej ramienia.

— Pani Józiu, niech się pani uspokoi... Niech pani tak nie biegnie... Ludzie zwracają uwagę i dziwią się...

Spojrzała na niego i zwolniła trochę kroku.

— Tak... słusznie... dziękuję panu...

Julian patrzył na jej pobladałą twarz, drżące usta, zmaczone niepokojem żrenice i czuł, że jakaś gorąca, wilgotna mgła zaczyna mu przysłaniać oczy.

— Boi się pani? — zapytał cicho, nie myśląc o tem, że znowu popełnia niedyskrecję.

— Boję się... — wyrwało się Józii...

— Biedne, biedne dziecko... — zaszeptał tak cicho, że ona już tego nie słyszała.

Teraz Łuniewski bardzo szybko, gorączkowo, jakby bojąc się stracić choćby jedną chwilę czasu, zaczął mówić:

— Czy pani często chodzi na zamiejskie spacer?...

— Wtedy byłam po raz pierwszy... Chodźmy prędzej...

— Nie możemy lecieć, jak waryaci... Zdążyliśmy... Kiedy pani znowu pójdzie?...

— Nie wiem.

— Ale pani pójdzie?...

— Jeżeli będę mogła... chciałabym...

— Koniecznie pani powinna!... Pani trzeba ruchu, świeżego powietrza... Pójdzie pani jeszcze?...

— Pewnie pójdę...

— Kiedy?... kiedy?...

— Może jutro... może pojutrze... może dopiero w przyszłym tygodniu... Bo ja wiem... Panie! Spieszmy się!...

— Już jesteśmy. Już rynek. O! widzi pani — świekra rozmawia z jakąś panią, a panna Lola doskonale bawi się z Władkiem.

Rzeczywiście Lola, spostrzegłszy zdaleka Łuniewskiego z bratową, zaczęła się głośno śmiać, dowcipkować i rozmawiać z Władkiem z nie-zwykłym ożywieniem.

Udawała, że nie widzi nadchodzących, tylko oczy błyszczały jej, jak rozżarzone węgle.

— A, jesteście państwo... Nareszcie... — powiedziała pani Żarnicka, mrużąc lekko powieki.

Mówiła niby spokojnie, bez gniewu, ale Józia znała się już dobrze na odcieniach jej głosu i zadrżała.

— Przynosimy plon obfity... — powiedział Łuniewski, stawiając na stoliku puszkę.

I on starał się mówić spokojnie, ale brwi mu drgały.

Lola wciąż ostentacyjnie nie zwracała na niego uwagi i zaśmiewała się z konceptów Koszczyca.

Było już dobrze po północy, kiedy Julian Łuniewski i Władek Koszczyk, odprowadziwszy panią Żarnicką i Lolę, wracali do domu.

Duży, pyzaty księżyc prószyl srebrzystą poświatą na opustoszałe, senne milczeniem miasto. W łagodnym, białym świetle nierówne, wadliwie wytyczone ulice, zaniedbane, miejscami wyszczerbione bruki i brzydkie, nieestetyczne domy łykowski nabierały jakiegoś poetycznego, rozmarzającego uroku.

Łuniewski palił papierosa za papierosem i pogwizdywał przez zęby, co u niego było zawsze dowodem silnego podrażnienia nerwowego lub irytacji.

Koszczyk natomiast był w doskonałym humorze i ze zwykłą sobie niefrasobliwą swadą wspominał przeżycia wieczoru, spędzonego w sali „Sokoła“.

— Ależ generał filantropiek łykowski, pani Kasztalińska, urządziła rewię, co się zowie!... „Żywe“ obrazy nadzwyczajne! Szczególnie panna Micia Kożuchowska, jako Zosia i ten Tadeusz — farmaceuta z krzywymi nogami, udali się jej!... Proponowano wprowadzić mnie tę rolę, merci bien! Nie miałem wcale ochoty urządzić maskarady! Zato doskonale bawiłem się na tem widowisku! A ty?

— Uhm... — mruknął Julian.

— A zwróciłeś uwagę na adjutanta Kasztalińskiej, na tę wystrojoną damę, która siedziała przy programach?... Jak to ona się nazywa?... Borejczykowa, czy Borejkwiczowa, czy coś podobnego... Mniejsza zresztą o nazwisko. Grunt dekoltaż non plus ultra i spódnica, osiągnąca ideał krótkości... Całe szczęście przynajmniej, że nóżki wcale... wcale... Zauważyłeś, co?...

Łuniewski zamruczał coś znowu niewyraźnie, ale Koszczyk, nie stropiony milczeniem kolegi, ciągnął dalej:

— A jej mąż, pan Borejczyk czy Borejkwicz, to także wspaniały okaz!... Gruby, łysy, sapiący i zazdrosny jak Otello!... Rozwścieklone spojrzenia rzuca na każdego, kto się zbliża do jego żony, albo ośmiela się obserwować jej bujne wdzięki... Tylko, że „dobroczyńna“ bardzo mało sobie z tego robi... To przecież wszystko na biedne dzieci... Miałem im ochotę zaśpiewać.

I Władek zaczął nucić kabaretową piosenkę:

„Jej mąż, ten zwykle oponował,
Kaleką się z wypadku stał
I, że za stary, nie tańczywał,
Strój żony za zbyt krótki miał.

Lecz o tem pewnie wszyscy wiecie,
Że mąż swej żonie ma za złe,
Co w każdej innej mu kobiecie
Najbardziej och! podoba się...

Lecz ona na nic nie zważała,
Z współczucia wszak czyniła to:
I znowu kwiaty sprzedawała
Z uśmiechem, gdy zażądał kto...

Tak miękkie serce biło w niej
Dla ideałów duszy drogich,
Wszystko uczyni, wierzyć chciej,
Ach! byle tylko na ubogich...

Przestał śpiewać, zaśmiał się i mówił dalej, zdając się nie spostrzegać, że rozmowa ta jest właściwie monologiem, bo Łuniewski w niej żadnego nie bierze udziału.